

# PION

CENA 50 GR

ROK VII NR 5 (278)

WARSZAWA

5 LUTEGO

1939 ROKU

## TYGODNIK LITERACKO-SPOŁECZNY

TREŚĆ

WITOLD HULEWICZ — MADAGASKAR FIEDLERA  
JAN ALEKSANDER KRÓL — OJCZYŻNA POETYCKA CZECHOWICZA  
JÓZEF CZECHOWICZ — KOMPOZYCJA  
Z. T. KRĘPSKI — EGOCENTRYZM MAURIAÇA  
HENRYKA ŁAZOWERTÓWNA — MICHASIA OD WENDERÓW

TEODOR POBÓG

## BRZEMIE MOCARSTWOWOŚCI

1

W swej nowej książce pt. *Sztafeta* Wańkowicz stawia śmiała a jednak elementarną tezę, że entuzjazm inwestycyjny musi być w Polsce zakrojony na miarę dotychczasowej polskiej nędzy. Można twierdzić z nieodpartą słusnością, że rekordy gospodareze padają przede wszystkim w krajach do niedawna gospodarczo zacofanych, że takie dzieła jak Gdynia i COP, jak Mościce i Rożnów, jak Chorzów i Porąbka rosnąć mogą najszybciej właśnie w kraju bezrobocia i wychodźstwa, w kraju Anopolów i biedaszybów. Mit o bogactwie najczęściej rozkwita właśnie w warunkach krańcowego ubóstwa, po stuleciach mikromanii narodowej przychodzi w końcu zryw ku potędze. Wydajność energii zbiorowej i żywość wyobraźni rządzi się zawsze tą dialektyczną rytmiką rozwoju i tego prawa dziejów nie jest w stanie uchylić. Droga tej samej dialektyki ewolucyjnej nastąpiło u nas wskrzeszenie idei mocarstwowości. Polskie sny o potędze zrodziły się z wszystkich tych upokorzeń, których zaznaliśmy od zarania naszego bytu niepodległego, z wszystkich rozczarowań powojennych, których nam nie szczydziły i wewnętrzne i zewnętrzne dzieje młodej państwowości.

Mit Polski mocarstwowej właściwie po raz pierwszy o głos się upomniał w chwili podpisania traktatu wersalskiego, gdy kolorowe olówki cudzoziemskich dyplomatów poprawiały mapę Europy jak naiwny rysunek dziecka, gdy o hycie lub niebycie milionów rozstrzygały kalkulacje mózgowe krótkowzrocznych obcych mężów stanu. Zraniono naszą dumę — jak gdyby w krwawej obiacie, którą świat złożył bożyszczom pokoju, nie było domieszki krwi polskiej! Myśl o Polsce jako mocarstwie wynika z wielu faktów — nawet z takich jak ten, że za zniszczenia wojenne nikt nie płacił nam odszkodowań. „Odzyskany śmietnik” należało uporządkować i zamienić na dom mieszkalny, a żołnierska szabla czy bagnet nie bardzo się do tego nadawały. Dla tych, którzy znad utworów Mickiewicza i Wyspiańskiego poszli wprost do Legionów, ów „odzyskany śmietnik” był wyrazem Ikarowej klęski, bankructwem najdroższych marzeń, choć w istocie był raczej norwidowskim „ideałem, który dosięgnął bruku”. Idea Polski mocarstwowej przynosiła rehabilitację marzeniom. Rzeczywiste jej losy na razie temu przeczyły: na razie stanowiła ona przedmiot przygodnych licytacji, wabik różnych obozów politycznych, które przez nią chciały zwyciężyć. Znużeni żołnierze niepodległości tę ideę Polski mocarstwowej wydarli wtedy ze zbrukanych łap — jak strzepy sztandaru. Piłsudski pierwszy te strzepy zasalutował.

2

Do rządu ojców chrzestnych polskiej idei mocarstwowej należeli także i nasi wielcy romantycy. Oni pierwsi pojęli, że jest ona imperatywem zwróconym na wewnątrz, nie zaś żadną ideą eksportową. Ich religijna koncepcja Polski jako narodu wybranego, jako Chrystusa czy choćby Winkelrieda narodów — to było hasło zwyciężania duchem, gdy ciało leży martwe. Dzieje legionu włoskiego i późniejsze konstantynopolińskie starania Mickiewicza świadczyły, że nie tylko duch był dla nich orężem w walce o Polskę mocarstwową. Jednak powołanie żołnierskie znaczyło wówczas tyle, że ideały nosili wszyscy w tornistrach — a przecież ideałów nie dostarcza armii żadna intendtura. Romantyczną ideę mocarstwowości cechował irracjonalny maksymalizm, zstępowała ona na ziemię z każdej przedburzowej chmury; nowoczesna jej postać ma raczej charakter roztropnego minimalizmu, wspartego na postulatach racji stanu, wyrasta z ziemi niby lodyga, z dnia na dzień odporniejsza na nieprzychylnie wichry. Mocarstwowość nie wyrzeka się dzisiaj podbojów czysto duchowych, lecz dysponuje przede wszystkim udoskonaloną przez ostatnie dziesięciolecia techniką i pięknie rozwiniętym elementarzem sprawności. Romantyzm stał przy tym frontem do jednostki; obecnie front ów zwrócił się ku zbiorowości.

Mocarstwowa Polska romantyków, dzięki właśnie swej *genesis z ducha*, realizować się mogła głównie przez propagandę. Dlatego to Polacy biorą udział we wszystkich wojnach, rozsiewają kości po wszystkich pobojuwiskach, przykładają rękę do każdego dzieła, ilekroć wchodzi w grę wolność i honor narodów. Nie zaniehbując szabli, w tyłu przybranych ojczyzn świecą przykładem kultury, zadziwiają szerokością horyzontów różnojęzyczne środowiska intelektualistów. Dostojeństwo Polski, polskości i polszczyzny udziela światła sprawom emigracyjnym w najdalszych kątach Europy, jak o tym plastycznie pisze Wacław Berent w *Nurcie*. Nieskończone wędrówki polskich „dyplomatów mimo woli” — emisariuszy wielkiego mocarstwa, wygnanego z atlasów geograficznych — nie omijają żadnej ze stolic. Nawet ci, którzy mężnie nosili na czołach piętno „trójlojalizmu”, nieraz przecież przy szkarłatnych tronach zaborców trwali niby posągi sumienia, a przynajmniej — sprawiedliwego rozsądku. Polacy wszędzie się ucą, wszędzie pracują, wszędzie są obecni — czasem tylko ciężkim milczeniem. Mocarstwowość w wymiarze wyłącznie duchowym zaczynała od propagandy; dziś kolejność etapów się zmieniła. Propaganda jest dziś olbrzymim i kunsztownym aparatem,

ale wtedy działa najskuteczniej, gdy już grunt jest przygotowany, gdy marzenia o mocarstwowości zastępuje wielki *fakt dokonany*. Propaganda staje się odtąd rzeczowym informowaniem.

3

Stoimy oto w obliczu tego *faktu dokonanego*. Przypomina nam nagle o tym skromna biała okładka książeczki ambasadora Juliusza Łukasiewicza: *Polska jest mocarstwem*<sup>1</sup>. Jaką najprostszą lecz aktualną definicję mocarstwowości można by z niej wysnuć? *Mocarstwowość — to uzyskanie przez Polskę takiego stanowiska w świecie, które pozwala bez przeszkód zaspokajać wszystkie jej potrzeby i potrzeby narodowości, zamieszkujących ziemie historycznie polskie*. Jedyną rękojmnię tak pojętej mocarstwowości stanowią: armia i polityka zagraniczna. Choć może to zakrawać na delikatny paradoks, zaryzykuję tu zdanie, że logika snów romantyków o Polsce mocarstwowej na tych samych gwarancjach wspierała swój niedosiężny ideał. Lecz w tym miejscu trzeba komentarza: armia Polski mocarstwowej — to nie tylko przewaga biologiczna i techniczna, to nie tylko ofiarny heroizm ekonomii, lecz przede wszystkim wzorzec obyczajów narodowego, czołówka jednej spójnej organizacji narodowej. Zeszłowieczne polskie legiony traktowały swą rolę zupełnie tak samo.

Polityka zagraniczna, której linię narysował za życia Marszałek Piłsudski i której przestrzega do dzisiaj uczeń jego, min. Beck — wywalczyła Polskę mocarstwową metodami bardzo prostymi; istotę ich można ująć tak krótko i popularnie, jak to w ostatniej swej książce uczynił Konrad Wrzós<sup>2</sup>. Przyjaźni sąsiedzkie i wierność sojusznica — to wskazania naczelne. Bezpośrednie uczestniczenie we wszystkich decyzjach areopagów międzynarodowych, które dotyczą spraw polskich — to wskazanie następne. Wreszcie — zawarowanie Polsce prawa inicjatywy we wszystkich tych wypadkach, gdy interes państwa naszego i światowego pokoju będzie tego wymagał. Te wytyczne brzmią bardzo skromnie.

Romantycy trochę inaczej wyobrażali sobie stosunki przyszłej Polski z pozostałymi narodami, misję każdego z nich oceniali wedle misji Polski; w tym tkwi źródło np. żarliwego słowianofilstwa Mickiewicza i jego stosunku do żydostwa. Przy takim za-

<sup>1</sup> JULIUSZ ŁUKASIEWICZ: *Polska jest mocarstwem*. Nakład Gebethnera i Wolffa, Warszawa 1939.

<sup>2</sup> KONRAD WRZÓS: *Pułkownik Józef Beck*. Nakład Gebethnera i Wolffa, Warszawa 1939.

łożeniu nie istniał podział na wewnętrzne i zewnętrzne sprawy poszczególnych nacji; słusznie stwierdził kiedyś w słynnym już dziś aforyzmie minister Beck, że gdyby wiek XX założenie podobne przyjął, wybuchłyby na nowo wojny religijne. Nawiasem warto tu dodać, że ta groźba jest, niestety, aktualna; tylko że już przed starciem wielkich demokracji współczesnych z wielkimi ustrojami totalnymi — przeciwnictwa (jak to bystro zauważa Goettel w książce *Pod znakiem faszystów*) od razu bardzo by się zatarły, gdyż wojna zażądałaby od demokracji poprawek ustrojowych, sięgnięcia do arsenału metod, z których totalizm korzysta w życiu pokojowym. Polityka zagraniczna nowej Polski, w atmosferze odosobnienia i niezrozumiałstwa, te perspektywy przewidywała.

4

O narodzinach Polski mocarstwowej nie można by nawet myśleć, nie wliczając do obrachunków silnej armii i rozumnej polityki zagranicznej. Wiedział o tym Marszałek Piłsudski — jak nikt inny świadom praw równowagi między marzeniem i czynem — i dlatego oba te resorty wyodrębnił z ogółu spraw państwa, otaczając je troskliwą opieką do samego niemal dnia śmierci. Te dziedziny w ciągu całych lat pochłonięły najwyższą sumę jego osobistych wysiłków. W wojsko wierzył na modłę *stricte* romantyczną, trochę jak rasowy szlachcic i trochę jak praktyczny myśliciel-moralista. Myśląc o wojsku, nie zdradzał nigdy swej indywidualności. Z polityką zagraniczną było nieco inaczej. Nazbyt często posilkuje się ona dumpingiem propagandowym, nazbyt często przybiera postać akrobatyki taktycznej, chytrę polowania na „zbiegi okoliczności” — by w powojennej Europie czołwiek jego pokroju mógł czuć do niej sympatię; przykład Czechosłowacji Benesa niedawno ten stan rzeczy tragicznie obnażył i przypieczętował. Gdyby taka polityka zagraniczna zapewniała trwałą pozycję mocarstwową, historia byłaby po prostu grą w szachy.

Waga, jaką do polityki zagranicznej Polski przywiązywał Marszałek, była nie tylko wyrazem obiektywnych przekonań wielkiego męża stanu, lecz także dowodem niewiary Piłsudskiego we własny naród, w mądrość i nieomyślność jego instynktów samozachowawczych. Osobowość Wielkiego Marszałka zbyt wiele cech zaczerpnęła ze spuścizny poromantycznej, by jego idea mocarstwowości nie była podobna do idei jego mistrzów duchowych. A przecież romantyzm polski swe hasła mocarstwowe traktował przede wszystkim jako drogowskazy wycho-







WITOLD HULEWICZ

## MADAGASKAR FIEDLERA

Trzeba było znać tego Fiedlera, kiedy zagbował i stawiał pierwsze kroki. Literacką koszulę w zębach trzymał, ale w życiu był to już młodzian poważny. Miał za sobą wielką wojnę, spędzoną w szeregach, był powstańcem wielkopolskim i groźnym oficerem... żandarmerii. Prócz tego najmilszy cygan, wyznawca i współpracownik buntowniczego *Zdroju*. Pisywał w tym awangardowym dwutygodniku po-



Arkady Fiedler, zeuropeizowana Howka i lemur przy śniadaniu

znającym (1917 — 1921) krótkie poezje prozą, ekspresyjne obrazki „Z cyklu: *Czerwone światło ogniska*”. Motywami, ustawicznie powracającymi w tych migawkach, były: ogień i dym, drzewa i noc, włóczęga i towarzysz, łąka i dziewczanna, liść i motyl. Znaleźć tu można w skromnych ziarenkach elementy późniejszej twórczości Fiedlera, który jako dziecko snił o dalekich podróżach.

Dzisiaj patrzymy z szacunkiem na rozkwit wspaniałego talentu; mamy przed sobą autora, wśród poważnych pisarzy współczesnych (jak wykazała pewna ankieta) ustępującego co do poczytności jednej tylko Zofii Kossak. Po *Rybach śpiewających w Ukajali*, po *Kanadzie pachnącej żywicią* i kilku książkach dla młodzieży — dał nam teraz Arkady Fiedler nowy tom — i spełnił najżyźniejsze, najbardziej optymistyczne oczekiwania<sup>1</sup>. Poczytność zasłużona i dobrze świadcząca o czytelnikach. Drugie i trzecie wydania w rekordowym czasie, nagroda literacka miasta Poznania — wszystko słuszne.

I nie jest to, jak chcą niektórzy, dziennikarz ani reporter — Fiedler to rasowy podróżnik-literat, który szybko w cień usunął całą naszą literaturę podróżniczą. Już go tłumaczą na obce języki. W kraju może by cherlał w pogoni za swoim „rodzajem”, wykaszując swój talent w dziennikarce i wypracowując sobie sztamę i reklamę w tym czy innym oboziku. Przeniesiony pod obce nieba, pyszny wagant i konkwista-



Malgaska przy roślinie owadożernej

dor literacki, strzelił jak gejzer i wybuchł raz po razie coraz to bardziej zdobywczo. Dobity przykład, w co się rozrosnąć mogą skromne, nie przeczuwane zdolności; kiedy natrafiają na swój tor, odkrywają własne złoża rudy.

Ale to jeszcze nie decyduje. Znamy dobrze podróżników, objeżdżających kule

<sup>1</sup> ARKADY FIEDLER: *Jutro na Madagaskar!* Warszawa 1939, Tow. Wyd. „Rój”, 280 str., 38 rycin według zdjęć autora.

ziemską z imponującą odwagą i umiejętnością docierania w najtrudniejsze, zapalne punkty globu — i znamy to żalodne rozczarowanie czytelnika: nadmiar materiału rozlaży się pod palcami jak lepka glina, cudowny kruszec zmarnowany, autor nie umiał organizować własnych przeżyć, ciężar obrazów zmiądzzył go, została nuda, nie wyszło nic. Po każdej książce Fiedlera, orzeźwieni i bogatsi, ponownie wysnuwamy wniosek: nie tworzywo tu decyduje, nie skala spektrum obserwacyjnego, nie chłonność zmysłów, nie temperatura uczucia, nawet nie ów cudowny podkład człowieczeństwa — ale to coś, co można dziś w Polsce nazwać „talentem”, tylko z natychmiastowym zastrzeżeniem. Bo utarło się, że talent to paszportik na dożywotniego konsumenta półczarnej, na beztroskiego łapacza koleżeńskich dyplomów i honorariów w kręgu urobionej sfery czytelniczej; to arkusz kuponów odcinanych dożywotnio od kiedyś napisanego dobrego tomiku wierszy; to laury kabaretowe i przemysł przerabiarski odświeżający starych fars. Za wiele namnożyło się patentów na talenty, za często dyskutowano te pochopnie wydawane glejty, abyśmy się dzisiaj łatwo znieć dawali. Więc takich potrzeba zastrzeżeń, zanim się z książką Fiedlera skonfrontuje pojęcie „talentu”. Tutaj bowiem to słowo oznaczać będzie nie tylko ową błąkającą się, nieuchwytną iskrę, pazur, tajemnicę twórczego czerpania z siebie, ale — i to w jeszcze większej mierze — zmysł rządzenia nadmiarem, mądrość opanowywania chaosu, rzekłbym: wojenny geniusz kierowania wielkimi jednostkami. Bo siatkówka i bębnek uszny, nozdrza i tyśięczne nerwy znoszą w każdej minucie, po dniach i nocach, latami: nieprzejrane tłumy, sennie stłoczenia sensacji zmysłowych, jak rozkrzyczany w słońcu pejzaż migają przed oknem rozpędzonej lukstorbędy. Z daru bożego się ma, ale ciężką pracą i dy-



Taniec krajowców

scypliną wewnętrzną zdobywa się i w wielki talent rozplenia to, co nade wszystko uderza nas swą jasnością w książkach Fiedlera, urzeka i czaruje: wspaniała, chciałoby się rzec: mozartowska przejrystość, magię wybierania, wiedzę segregacji materiału. Fiedler po prostu władco panuje w dżungli własnego tworzywa. Śledzimy z rozkoszą, jak z głębi perspektywicznej kolorowego obrazu, którego przelewność aż oczy mrużyć każe, on wybiera spokojnie, weale się nie siląc na oddanie całości, jeden drobny szczegół — i tak go ukazuje, że widzimy całość. To samo czyni z pejzażem cienki pędzledek japońskiego malarza.

Z tej mądrości świadomego ogranicze-



Chata malgaska na palach

nia zrodziła się własna metoda pisarska Fiedlera, metoda w *Madagaskarze* doprowadzona do artystycznej doskonałości. Ta mądrość wyboru rządzi każdą stronką, każdym zdaniem, ukształtowanym jako synteza wielomiesięcznych wrażeń. Suma obserwacji i doświadczeń nie płynie u niego leniwie rozlanym korytem, w którym sunęłyby obok siebie rozliczne wątki. Soczewka Fiedlera skupia się zawsze, na przeciąg jednego krótkiego rozdziału, na jednym temacie, jednym zwierzęciu, jednej roślinie lub jednej scenie, by ten obiekt oświetlić jasno, ze wszech stron, przejrzeć na wylot, opisać z precyzją poety — i w następnym rozdziale przejść do innego motywu.

W ten sposób jeden rozdział będzie zwartą monografią pejzażu madagaskarskiego, inny błyskawiczną historią tej awanturkowej wyspy, trzeci syntezą akcji misjo-

worzysty deseń, z którego, gdy oczy przywykną, układa się nagle spokojna mapa Madagaskaru.

Nie chcę, aby to było dziennikarskie sprawozdanie, więc nie streszczam, jak się to czyni z każdą sztuką teatralną, ani polemizuję, co lubi czynić publicysta. Stwierdzam, że z książki Fiedlera uczymy się bardzo wiele, a ten, który nas w sposób pełen czaru uczy, ma za sobą wszelkie atuty wiarygodności — i ma za sobą ponadto ogromny atut artystyczny. Niepostrzeżenie zbliża nas do duszy kraju, ptaka, drzewa, dzikusa, jednym uśmiechem oświetla przestrzeń, jednym dobrym ruchem ręki otwiera serce czytelnika dla swoich ludzi i rzeczy. Wnioski Fiedlera nigdy nie są zbliżowane, narzucające się; autor zawsze dyskretnie ścisza głos, kiedy nagle powie, uogólniając: „Na Madagaskarze, im człowiek ma ciemniejszą skórę, tym jaśniejsze serce...”

Pisarz o założeniach, treści duchowej i metodach Arkadego Fiedlera nie naraża się na przedczesne wywołanie. I wyrażamy nadzieję, że nim pochłonie go nowa wielka podróż, zaczerpnie z materiałów madagaskarskich jeszcze i raz i drugi, by swego przyjaciela-czytelnika uradować dalszy-



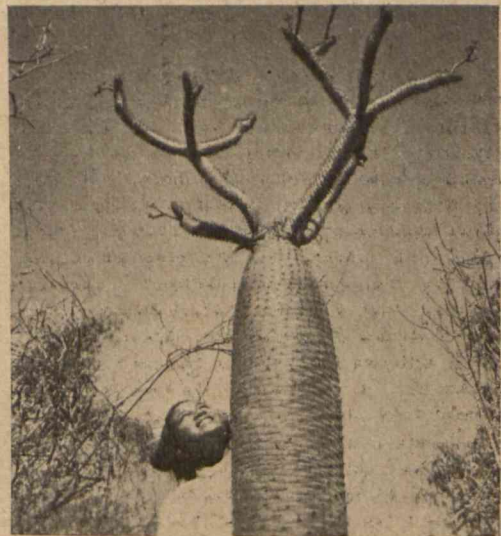
Kokieteria fryzury malgaskiej

mi książkami o tej wyspie. Beniowski został tu zaledwie wspomniany — cóż za temat dla Fiedlera! Dusza Malgaska, zrywająca się do bujnego życia jak radosny motyl i rychło ginącej w odmęcie okrutnej tradycji i ciemnoty ponurej obyczajowości — oto inny pomysł, narzucający się temperamentowi i prostocie pióra Fiedlerowego; tu został on naszkicowany w znakomitym, pełnym dramatycznej ekspresji obrazku „Conia dziewczęcy”.

Na zakończenie pragnę zanotować taki obrazek, autentyczny. Schronisko w Tatrach. Hala Goryczkowa. Wieczorami przy lampie schodzi się grono górali, najstarszy nakłada okulary i wolno czyta książkę Fiedlera, pożyczoną od cepra. Krąg zasłuchanych zacieśnia się dokoła czytającego, otwarte usta, roziskrzone oczy, jak w czasie seansu na fantastycznym filmie. Co pewien czas buchają słowa szczerzego zachwytu, pytania, okrzyki. I, co dziwne, ekstaza gazdów i juhasów podkreśla realizm, jasność i ludzkość tego pisarza, przeciwstawiając go rzekomej sztuczności i zagmatwaniu *Skalnego Podhala*, które jest przecież, wiemy to wszyscy, arcydziełem — ale właśnie do tych czytelników nie trafia.

Niech cieszy ten obrazek na chwilę Arkadego Fiedlera, tak jak nas radują jego książki.

WITOLD HULEWICZ



Drzewo i dziewczyna na Madagaskarze

**Nie zapominajmy o głodnych  
i zziębniętych dzieciach  
Składajmy ofiary na Pomoc Zimową!  
Konto P. K. O. 70.200 Pomoc Zimowa**





